

Mag.	St.	Dr.	P
------	-----	-----	---



26084

1

Sc 576
SOLENNIZANT,
KOMEDYA
W TRZECZ AKTACH

przez

MICHAŁA MOWINSKIEGO.



w Warszawie 1780.

Nakładem y Drukiem MICHAŁA GRÖLLA,
Księgarza Nadwornego J. K. Mci.

OSOBY REPREZENTUJĄCE.

STARUSZKIEWICZ, Stryi Leandra.
LEANDER.
Pan CZEŚNIK.
Pani CZEŚNIKOWA.
Pan SKARBNIK.
Pani SKARBNIKOWA.
Pan PODWOIEWODZY.
Pani PODWOIEWODZINA.
Pan POGROMSKI, Towarzysz.
DUMSKI, Marszałek Dworu Leandra.
TARABANSKI, Kapitan.
WYTRZĄSALSKI, Podskarbi.
SZŁAPACZYNSKI, Koniusz.
KONCEPTOWICZ, Sekretarz.
PUZAN, Kapelmayster.
GIERWAZIEWICZ, -) Pokoiowi.
PROTAZINSKI, - -)
BARTŁOMIEY, Szafarz.

Scena w Domu Leandra.

26084. I.



AKT PIERWSZY.

SCENA I.

BARTŁOMIEY *sam.*

Dobrze się stało, że naszego Pani-
cza, Pan Cześnik na obiad do
siebie zaprosił: — ale coż potym kiedy
go znowu zbałamucił Pan Marszałek,
— nie day się Wć Pan w wspaniałości
przewyżżyć — Pan Cześnik daie obiad,
day Wć Pan wieczerzą — Bal, Feier-
werk, illuminacyą. Pan na to: bar-
dzo dobrze: wołaycie Bartłomicia. —
Przychodzę. Bartłomiciu! niech dziś
będzie wieczerza, bal, feierwerk, il-
luminacya. — Ja: — Ale Mości Do-

A 2



brodzieiu! — nie dał mi domówić, y z izby wyszedł. A tu pieniędzy nie masz, żyd za kwitkami już poł tora roka arędy zapłacił; ia nie mam nic przy sobie, a choćbym miał, nie dam. Oy nie dam — y puł szeląga! Coż to za bieda z temi młodemi Panami! — iakie to marnotrawstwo! Miły Boże! coby na to mówił nieboszczyk Jegomość! On co tylko w Niedzielę, y to nie zawsze, kawał, y to nie wielki sztuksi mięsa miał na stole. O kapłanach ani pyta, kurka chyba w ten czas, kiedyśmy się bali, żeby nie zeszła, a nie było można przedać. kassą klusieczkami, dorobiliśmy się chleba. Nie wiele się iadło, nie wiele się piło. Ale też za to co kontrakty była wieś, albo summa na prowizyę po dzieśięć od sta. Pieniędzy huk, zboża pełno, bydła dostatkiem. A teraz co? — w Pokoiach Adamaszek, a w stodole pustki; w lamusie piar-



nia — wołyśmy ziedli, krowy przedali. — Mamy za to dwie furmanki y forsyow po angielsku. Dobrze, Panenku! dobrze: — wyiedziemy my z domu temi furmankami, a podobno bez powrotu. Ja nie wiem, gdzie te furmanki powiozą — a wreszcie co mi do tego! niech hula — niech traci — iam sobie swoją sumkę na kahale ulokował; — będzie czym żyć na starość, y może się ieszcze co z prowizyi okroi: niechciał mnie słuchać, niechże sobie lepszego szuka — Mowilem, perswadowałem, prosiłem; — darmo. Coż ia mam daley czynić? — porzucę wszystko! — niech czyni co chce, — tak jest — porzucę.

Ale mi go iednakowo żal. Przecież to Pańska krew: dorobiłem się przy oycu kawałka chleba, nie godzi się syna porzucać. — Ale na coż ia się zdam, kiedy mnie nie słucha? — Prawda. — Ale kto wie — może kiedy y



uflucha, może się upamięta. Stryi też ma przyjechać; — poczekam jeszcze — niechno Stryi przyjedzie. —

SCENA II.

MARSZAŁEK, BARTŁOMIEY.

MARSZAŁEK.

Coż to waść sam do siebie gadasz?

BARTŁOMIEY.

Sam do siebie; bo mnie nikt słuchać nie chce. —

MARSZAŁEK.

Bo może nie masz co słuchać.

BARTŁOMIEY.

Tym, którym to słuchanie nie miłe.

MARSZAŁEK.

Waść, widzę, coś nadto przebąkujesz — znay się Wafzec na sobie, czyń coś powinien — a pamiętaj, iż nie przystoi szafarzowi być kaznodzieją.



BARTŁOMIEY.

Wielu nie przystoi być tym, czym są — Tak to teraz świat idzie. Ale nie chcę już więcej mówić, żebyś mnie WaćPan znowu kaznodzieją nie nazywał.

MARSZAŁEK.

Słyszaleś Waść, Panie Bartłomieiu! co Jegomość rozkazał?

BARTŁOMIEY.

Tadzem flyszął. —

MARSZAŁEK.

Trzeba tedy, żeby wieczerza była duża, stoł Pański na osob dwadzieścia, Marszałkowski na osob trzydzieści — oprócz tego dla gościnney czeladzi stoł u wafzeci.

BARTŁOMIEY.

Dwadzieścia osob u Pana, trzydzieści u WaćPana, u mnie może pięćdziesiąt: Będzie tedy dziś na wieczerzę



osob dwadzieścia a trzydzieści, piędziesiąt, a piędziesiąt, sto. Na to wszystko ani Wola, ani Krowy, ani Jendyka, ani Gęsi, ani Kaczki — ani nawet chleba nie masz.

MARSZAŁEK.

A mnie co do tego? —

BARTŁOMIEY.

Kazał Jegomość dać illuminacyą, a tu nie masz, ani wosku, ani łoju, ani oliwy — lamp już y Xiędzu Plebanowi nie stało, bośmy ie wytłukli.

MARSZAŁEK.

A mnie co do tego?

BARTŁOMIEY.

Nad to, kazał Jegomość dać bal. Pan Kapelmayster grać nie chce, bo niepłatny od puł roka — Trębacz, od ustawicznego grania, chory na dychawicę. Pan Pogromski z Panem Ko-



niuszym ostatnią razą potłukli sobie fluty na łbach.

MARSZAŁEK.

Jużem Waszeci powiedział, że mnie nie do tego; dość że Pan chce, y musi tak być, iak Pan chce. Rozumiesz waść Panie Bartłomieju? (*odchodzi*)

SCENA III.

BARTŁOMIEY *sam.*

Rozumiesz Waść, Panie Bartłomieju! — Piękna dyspozycja! Ja mu przekładam czego potrzeba, a on: a mnie co do tego? — Pan chce, Pan każe. Niechże Pan płaci. Ja cudów nie będę robił. Kiedy z Jegomością do stołu, kiedy do flaszki, ani się można na ten czas przez Panow urzędników przecisnąć; — a kiedy trzeba Panu dopomódz, — to wszystek ciężar na Bartłomieja. — A jużem też y flary:



godziłoby się popołgować staremu fludze. Ale czy myślą o tym nasi Pano wie? — Oy nie, — trzeba się będzie iednakowo zakrzatnąć; — ale też to już ostatni raz. Jegomości, widzę, powraca — co za asystencya! —

SCENA IV.

LEANDER, MARSZAŁEK.

MARSZAŁEK.

Szkoda mówić pięknie, Pan Cześnik Panu applaudował — nieżal mu będzie odwdzięczyć — tak — iak to Pan umie.

LEANDER.

Ale podobno coś mi chciał mówić szafarz. Zmiłuy się Waś, — żeby on swoim skępstwem ochoty nam y balu nie popsuł.

MARSZAŁEK.

Niech się tylko Pan na mnie spuści,



a temu staremu baiarzowi nie wierzy, upewniam, że będzie wszystko z honorem. Ale niech Pan każe przywołać Ichmościow urzędnikow Dworskich y każdemu przynależyte czyni dyspozycye — ia tym czasem poydę wszystko przygotować, co się moicy funkcyi tycze. (odchodzi)

LEANDER.

Gierwaziewicz!

SCENA V.

LEANDER, GIERWAZIEWICZ,
PROTAZIŃSKI.

GIERWAZIEWICZ.

Co Pan każe?

LEANDER.

Wołay Podskarbiego, Koniuszego, Sekretarza. — Protaziński!



PROTAZINSKI.

Jestem, Mości Dobrodzieiu!

LEANDER.

Niech tu przyjdą Kapitan, y Kapelmayster.

SCENA VI.

LEANDER, PODSKARBI, KONIUSZY.

LEANDER.

Panie Koniuszy! — każ Waść żeby była w stałni wszelka gotowość, — Konie przybrane, — o czubach nie zapomnieć. — Jędrzey Iztangret niech sobie szwarcowane wąsy przyprawi; — Koń mój cisały, niech będzie okulbaczony, każesz Waść rząd mój pozłocisty na niego włożyć —

KONIUSZY.

Stanie się wszystko według woli Pańskiej. Ale Mości Dobrodzieiu! —



LEANDER.

Dayże mi Waść pokoy z tym ale —

KONIUSZY.

Ale Mości Dobrodzieiu! Staienni strawnych —

LEANDER.

Jużem powiedział, że tych ale nie lubię. — Niech będzie wszystko tak, iakem rozkazał. — Czubow nie zapomnieć. Podz Waść. — Panie Podskarbi

PODSKARBI.

Jestem do usług Pańskich.

LEANDER.

A przyszły pieniądze od tego żyda?

PODSKARBI.

Od tego żyda, Mości Dobrodzieiu?

LEANDER.

Tak jest, od tego żyda, co ie tu miał przewexlować.



PODSKARBI.

Przewexlować, Panie Dobrodzieiu?

LEANDER.

Tak ieſt, przewexlować.

PODSKARBI.

Panie Dobrodzieiu przepraſzam! —

LEANDER.

Za coż mnie Waſć przepraſzaſz?

PODSKARBI.

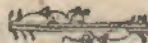
Przepraſzam, Panie Dobrodzieiu!
bom pieniędzy nie odebrał, y o wex-
lu nie ſłyſzałem.

LEANDER.

Jak to Waſć nie ſłyſzałeſ? Wſza-
kem mowił oſtatnią razą, że Waſć mia-
łeſ — o te pieniądze.

PODSKARBI.

O te pieniądze, Panie Dobrodzie-
iu? — od dwóch mieſięcy w ſkarbie



Pańſkim y ſzelaga nie maſz; y moia
penſya —

LEANDER.

Dayże mi Waſć pokoy z tą penſyą
y tym ſwoim ſkarbem: — niech tu
przyidzie Pan Kapitan.

S C E N A VII.

LEANDER, KAPITAN.

KAPITAN.

Sta — ſta — wam na zawoła — ſa-
nie — na Pa — pa — pański ordy —
dy — nans.

LEANDER.

Ludzie czy ſą w gotowości?

KAPITAN.

Ta — ta — tak ieſt.

LEANDER.

Harmaty zatoczone?

KAPITAN.

Ta — ta — tak jest.

LEANDER.

Broń czy jest czysta, y ładunki do strzelania czy dostali żołnierze?

KAPITAN.

Ta — ta — tak jest.

LEANDER.

Słuchayże Waś! Panie Kapitanie, Jak będą goście przyjeżdżać, pamiętaj Waś dać ordynans Wachmistrzowi, żeby żołnierze byli w kurdygardenie. Jak zaś goście będą wieżdżać niech warta zawoła Raufs —

KAPITAN.

Ra — Ra — Raufs —

LEANDER.

Alc nie przeszkadzaj mi Waś — Jak więc goście będą wieżdżać niech wartą zawoła Raufs —

KAPI.

KAPITAN.

Ta — ta — tak jest, Raufs. —

LEANDER.

Ale już mówiłem, nie przerywaj mi Waś. —

KAPITAN.

Ta — ta — tak jest.

LEANDER.

Jak więc goście będą zaieżdżać, niech uważają karetę, w ktorej będzie Pan Cześnik y Pani Cześnikowa y Panna Cześnikowna.

KAPITAN.

Ro — ro — zumiem y Pa — panna Cześnikowna.

LEANDER.

Prześlanże Waś, kiedy ja mówię. — Jak tedy postrzegą karetę Pana Cześnika, niech dobośz na ten czas już nie biie werbel, ale marsz!

SOLENNIZANT.

B



KAPITAN.

To — to — to — być nie może.

LEANDER.

Jak to być nie może? —

KAPITAN.

Nie — nie — nie może. Marz się bi — biie — tylko przed Pa — Panem y Kro — Kro — Krolem.

LEANDER.

Co mi tam Waść prawisz. Ja tak chcę, y tak musi być. Rozumiesz Waść. —

KAPITAN.

Ta — ta — tak jest.

LEANDER.

Jak przyydzie czas wiesz, niech żołnierze półmiski z kuchni niośią, Wachmistrz przed niemi z łaską, a oni jeden po drugim.



KAPITAN.

Żoł — żoł — żołnierze do poł — półmiskow?

LEANDER.

Ta — ta — tak jest. Już mówiłem, żeby mi nie przeszkadzać. — Jak przyydzie załadować y zdejmować potrawy, niech stoją koło stołu rzędem, a każdy niech się prosto trzyma, y patrzy w bok.

KAPITAN.

Nie — nie — na — poł — poł — miski?

LEANDER.

Waść, widzę, nie możesz wytrzymać, żebyś czego nie dołożył. Jak przyydzie bic capłrzyk, niech dobośz pod okna sili chodzi, żeby słyżeli goście.

KAPITAN.

Y po — po — sili spać.



LEANDER.

Idźcie już y Waść, a nie białamuc.

KAPITAN.

Ale — le Mo — mōści Do — do
— brodzieiu — Zōłnie — nie —

SCENA VIII.

Ciż sami KAPELMAYSTER.

KAPELMAYSTER.

A ia kiedy będzie gralem?

LEANDER.

Niech kapela będzie na pogotowiu,
da znać Pan Marzalek, kiedy się bę-
dzie miał koncert zacząć.

KAPELMAYSTER.

Concerto — a — ia Concerto —

LEANDER.

Po kolacyi zaś, gdy stoły wyniosła,
stanieśz Waść z kapelą do grania tani-
cow.



KAPELMAYSTER.

Moy skrzypce nie po Polski:—Symfo-
nie, Quartetto — ia; — ale taniec —
ja nie będzie taniec.

LEANDER.

Kiedy Waść u Polaka służysz, gray-
że Waść po Polsku, a nie wymyslay.
Rozumiesz Wać, Panie Pużan?

KAPELMAYSTER.

A — ia — ia —

SCENA IX.

Ciż sami, POGROMSKI.

POGROMSKI *pitany*.

Pana Dobrodziecia — witam y win-
szuję — applauzow — statecznego —
wyrokow Boskich — Ale iakież to wi-
no u naszego kochanego Cześnika! —
przyśięgam Bogu, — to kochany Do-
brodziecy — Pan — (*patrzy na Kapi-
tana*) a Jegomość z Flandryi?



LEANDER.

Nie -- to Kommendant moich nadwornych żołnierzy. —

POGROMSKI.

Mości Panie Kommendancie nadwornych żołnierzy! kłaniam. —

KAPITAN.

Kła — kła — kłaniam.

POGROMSKI.

Kochany Rycerzu! — powiedz — co tam słyhać w Flandryi?

LEANDER.

Jużem Wać Panu powiedział, że Jegomość nie z Flandryi.

POGROMSKI.

Jegomość — nie z Flandryi? — przepraszam. — Ale Pan Dobrodziey iuż to podobno zapomniat o prawdziwych sługach swoich. —

LEANDER.

Po czymże to Wać Pan miarkuieysz --



POGROMSKI.

Po czym miarkuieysz? — po wszystkim.

LEANDER.

Jak to?

POGROMSKI.

Oto tak. — Nayprzod Pan wie; iak to bywało — za dawnych czasów — Poki świat światem — a ha!

LEANDER.

Nie rozumiem, co Wać chcesz przez to wyrażać. —

POGROMSKI.

Ale ja rozumiem (*do Kapitana*) Monfieu, a każ Wać winą przynieść.

KAPITAN.

Ja nie do — do — kie — liż — ka — flu — flu — żę.

POGROMSKI.

A do czegoż, kochany Rycerzu?



KAPITAN.

Do na — na — uczenia — ro —
ro —

LEANDER *do Kapitana*

Dayże Waśc pokoy — wszak widzisz, że piany: — nie rob mi historyi w domu — (*do Pogromskiego*) Mości Panie Pogromski będzie wola kieliszek wina.

(*Kapitan odchodzi.*)

POGROMSKI.

Dobrze — kiedy Pan każe, — wa. ale widzę, kochany Rycerz — marotny, każ go Panie Dobrodzieciu zawołać; — ja go — potrafię ucieszyć! — Pan wie, iak to ja — e e kszyt — ciach —

LEANDER.

Gierwaziewicz! (*przychodzi*) — Przynies wina, y zawołay Pana Marszałka, niech tu zaraz przyydzie.



SCENA X.

Ciż sami MARSZAŁEK.

LEANDER *z kielichem.*

Mości Panie Pogromski! do Waśc Pana — stateczna przyiaźń —

POGROMSKI.

Pan nie łaskaw na służę. — Nie tak to bywało za naszych czasow. — Pan naparsteczkiem piie, iak k nareczek.

LEANDER.

Przepraszam, że nie pełno, — muszę się ochraniać dla dzisiejszey ochoty.

POGROMSKI.

Prawda — (*z płaczem*) zgrzeszyłem; — odpuść Panie — poradziłem — zgrzeszyłem — Panie Marszałku! padniemy do nog — przepraszamy — (*pada do nog.*)



LEANDER *porywa go.*

Ale co Wać Pan czynisz? — nie żartuy —

POGROMSKI *klęczy.*

Zgrzeszyłem — posądziłem. (*do Marszałka*) A Wać czemu nie klęczył?

LEANDER.

Bo ja tego nie chcę — (*podrymuje Pogromskiego*) Nie żartuy Wać Pan, należy sobie.

POGROMSKI.

Dobrze — (*do Gierwaziewicza*) — lewy, kochany! pełno — pełno — wiwat — (*do Marszałka*) — iak to, Panie Marszałku! — festum colimus: wszak tak? —

MARSZAŁEK.

Cujus festum colimus?



POGROMSKI.

Jaki mi to Wać łacinnik! — Czy colimus, czy nie colimus, a ja sługa Pański — y kwita; — a kto niewierzy —

LEANDER.

Ale ktoby nie wierzył? —

POGROMSKI.

Ja pewien łaski Pańskiej, — ale ten Jegomość, Panie Dobrodzieiu! pozwol — niech się ja z tym niemiaszkiem ucieczę. — E he! —

LEANDER.

Day Wać Pan temu pokoy, a teraz proszę być wesolym w domu moim. —

POGROMSKI.

Ey Panie Dobrodzieiu! pozwol tylko na moment — na kwadransik. —



LEANDER.

Potym o tym; — niezabawem będę
Wac Panu służył, — teraz muszę na
moment odejść. —

POGROMSKI.

Ja odejdę, — niech Pan zostanie.
(*do Marszałka*) Podźmy do niemiar-
szka. —

MARSZAŁEK.

Proszę pierwej do mnie, — napię-
my się.

POGROMSKI *Leandrowi do ucha.*

Panie Dobrodzieiu! — ten Pan Mar-
szałek, — to skarb męczyłowiek. — (*od-
chodzi.*)

SCENA XI.

LEANDER *sam.*

Przecieżem się pozbył tego impor-
tuna. — Płak, burda, — okazji tylko



szuka, — a kiedy przyjdzie do czego
— jużem poznał, — iak spokojny y
grzeczny. Przykrzy mi się sposób mo-
iego życia, — ale iak go odmienić! —
powiedzą, że czynię z muzu, — powie-
dzą może, że dziwak: — w Warszawie
ani się będzie można pokazać. — Ale
y w Warszawie — są tacy, — którzy się
tym sposobem życia brzydzą; — ale
może ta, dla ktorey — płęć iey lu-
bi wspaniałość, — ale ona przywarow
płci swoiey nie zna. —

SCENA XII.

LEANDER, MARSZAŁEK.

LEANDER.

A coż Wasz tam z Pogromskim
zrobił?

MARSZAŁEK.

Dwa kielichy zwały go z nog, spi
teraz śniaczno, — ale Mości Dobro-
dzieiu! Szafarz —



LEANDER.

Ah! zmiłuy się! nie cierp oślatnicy
moicy konfuzyi. —

MARSZAŁEK.

Wehodzię ja w czułość Pańską. Ale
coż czynić z tym człowiekiem, który
na przekorę zapewnie Panu wszystkie
te sztuki wyrządza. — A godziłoby mu
się większą mieć atencją dla Pana. Każ
go Wac Pan Dobrodziecy zawołać, y na-
ucz chłopca rozumu. Niech wie, że
Pański poddany. — Rozbrykał się w
nadzieję, że stary sługa; y dla tego, że
oycu służył, rozumie, że powinien ty-
na rozumu uczyć.

LEANDER.

Trzeba też to czasem y wybaczyć
przez wzgląd na wiek, — na dawne u-
sługi. —

MARSZAŁEK.

Wybaczyć chłopcu? — Nigdy. Wierz
mi Pan Dobrodziecy, iż ten rodzaj za-

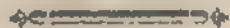


dnego względu niegodzien, — dobroć
go psuie: — urodzony do iarzma, —
trzeba, żeby iarzmo znał; inaczej tak,
iako nasz ten miły Pan Bartłomiej roz-
bryka się, — y jeżeli go batog nie na-
wroci, — szubienica chyba rełtzy doka-
że.

LEANDER.

Zarliwość Wac Pana dla mnie u-
czynna, ale nie ludzka. Znam ja, że
chłop; dla tego, że jest chłopem, nie
prześtaię być człowiekiem. Ażem jest
iego Panem, przypadek urodzenia nie
powinien być przyczyną nieszczęścia
tych, któremi rządzą.

Koniec Aktu Pierwszego.



AKT DRUGI.

SCENA I.

STARUSZKIEWICZ *sam.*

Nikt mnie nie postrzegł: — miałem tu zastać Bartłomieja, a widzę go jeszcze nie masz. — Biedny starzec zapewne się krząta, żeby dogodził wymysłom młodego Pana. Powiedział mi Pan Cześnik, że on tu wiele cierpi, — zapewne nie od mego Synowca. — Znam ja jego dobrą naturę, — ale to jego Marzałki, Koniuszowie, Podskarbiowie, ci y Pana gubią, y tego dobrego staruszkę męczą. — Mam w Bogu nadzieję, że tego nie długo będzie. —

SCENA



SCENA II.

STARUSZKIEWICZ, BARTŁOMIEJ.

BARTŁOMIEJ.

Ah Mości Dobrodzieiu! Pan Bog nam tu Wać Pana zesłał. — Niepoznaśz Wać Pan y dwor y ludzi. — Patrząno Wać Pan, iakem się ja tu zesłarzał. — Oy! bieda mi bardziey dokuczyła, niżeli lata.

STARUSZKIEWICZ.

Jakże mi się masz, moy kochany Bartłomieiu?

BARTŁOMIEJ.

Miałcibym się nie źle, ale tuteyszy nierząd, y zdrowie mi odiał, y ieżeli dłużej tego będzie, y życie weźmie.

STARUSZKIEWICZ.

Nie turbuy się, — znajdzie się na wszystko lekarstwo. A odebrałeś moy list?

SOLENNIZANT.

C



BARTŁOMIEY.

Tego momentu oddał mi posłaniec:

STARUSZKIEWICZ.

Pamiętajże to wykonać, com tam napisał. A nim się zakrzątniesz koło roboty, powiedz, co tu u was slychac?

BARTŁOMIEY.

Ah Mości Dobrodzieciu! źle. Pan dobry, ale go otoczyła zgraja ludzi niegodziwych, niepoczciwych. Póki w domu z początku siedział, wszystko było dobrze. Wyjechał, potem do Warszawy, — bawił tam kilka miesięcy, — dał znać, że powraca. — Wybiegłem na ganek, patrzę, aż tu asystencya, y za karetą, y przed karetą, y około karety. Wyjechał był to błękitna kolarzka Gdańską, w której rok Wac Pan Dobrodziecy pamiętał? tego samego niebożczyka co rok iezdził na



kontrakty. Została się w Warszawie, podobno ją tam komuś darował, a tu przyjechał karetą wyłaczaną, wymalowaną; za nim karetą drugą, rozumiałem, że goście, aż tu Pan Marzatek, Pan Sekretarz, Pan Podskarbi, y jakiś towarzysz, Pan Pogromski. —

STARUSZKIEWICZ.

Pogromski? — Ato co? ten pijak, burda, oszuł?

BARTŁOMIEY.

Ten sam. Nie na tym się skończyło. W kilka dni potem, gdym ieszcze na łożku leżał, slyszę, aż w taraban bią. Rozumiałem, że załad. Porwałem się z łożka; aż mnie tu pokoiowy powiada, że to Pan Kapitan y nadworni żołnierze ciągną. Nie chciałem wierzyć. Wypadam na dziedziniec, aż oni stawiają warty u bramy, u sieni; Kapitan młotztruje, zataczają harma-



tki, rymfunktiki z wozow dobywają. Na to wszystko łzy mi stały w oczach, wspomniałem sobie nieboszczyka Pana, wspomniałem Wać Pana Dobrodzieia, — przeklinałem Warszawę. —

STARUSZKIEWICZ.

Coż dalej? —

BARTŁOMIEY.

Y na wołowejby skorze nie spisał, co tu się potym działo. — Pamiętałś Wać Pan owe beczki wina starego w żelaznych obręczach. Co to Jegomość nieboszczyk strzegł, iak oka w głowie? —

STARUSZKIEWICZ.

Pamiętam.

BARTŁOMIEY.

Wypili ją za dwa dni, a co zdrowie, dalej z harmatek, albo z ręcznicy strzelby, iak na Boże Ciało. — Po sta-



rym poszły y młodsze, daley y miod, nawet wiśniak, malinnik, iabłecznik. —

STARUSZKIEWICZ.

Ah dla Boga! coż to za zbytki!

BARTŁOMIEY.

Śluchayno Wać Pan daley. Nieboszczyk Pan, spodziewając się głodu, przez dwa roki nie pożyłal zboża do Gdańska, iuż nie było miejsca w szpi-chlerzu.

STARUSZKIEWICZ.

Coż się z nim stało? —

BARTŁOMIEY.

Kupił go żyd za bezcenek.

STARUSZKIEWICZ.

A pieniądze?

BARTŁOMIEY.

Pieniądze? Nie wiem, ieżeli dał w gotowiznie y pięć tysięcy, y to sa-



meni miedziakami. Za resztę sprawił sobie Pan Marszałek cztery pary sukien. — Pan Podskarbi wziął kwitowe. — Pan Koniusz dwa szlapy. — Kapelmajster posprowadzał niezliczoną moc parbyturow, instrumentow. — Sprawili się mundury dla żołnierzow. — Mnie dali resztę na expens; zgadniey Wac Pan wiele?

STARUSZKIEWICZ.

Przynajmniey dwa tysiące. —

BARTŁOMIEY.

Dwieście siedmdzieśiat pięć złotych, groszy trzynaście, y szeląg. A z tego (patrzayno Wac Pan) trzeba było wystarczac na stoł, na cukry, na feierwerki, na illuminacye, y jeszcze wydarł mi Pan Pogromski złotych sześćdziesiąt, iak mowiał, wygranych od Jegomości w chapankę.



STARUSZKIEWICZ.

To było nie dawać. —

BARTŁOMIEY.

Tak jest, nie dawać, kiedy z szablą nad łbem machał.

STARUSZKIEWICZ.

Ah dla Boga! coż to takiego? —

BARTŁOMIEY.

Jeszcze to nie wszystko. Patrzayno Wac Pan (*wyymuie Reiestr*).

STARUSZKIEWICZ.

Coż to w tym piśmie? —

BARTŁOMIEY.

Każesz go Wac Pan czytać? —

STARUSZKIEWICZ.

Czytay.

BARTŁOMIEY *bierze okulary na nos*.

Specyfikacya długow Wielmożnego Jegomości Pana —

STARUSZKIEWICZ.

Zaniechay tytułów, czytaj z gory.—

BARTŁOMIEY.

Nayprzod.— Niewiernemu Szmuy-
le Aaronowiczowi za korzenie brane
do kuchni,— tyfiąc siedmfet czter-
dzieści dwa złote, groszy trzy.

STARUSZKIEWICZ.

Tyfiąc siedmfet złotych za korze-
nie? Jego oyciec przez całe życie ty-
le nie ziadł. Daley.

BARTŁOMIEY.

Panu Lokciewiczowi kupcowi War-
szawskiemu za sukno na liberye, tyfiąc
czteryfta pięć dziesiąt cztery złote, gro-
szy ośm.—

STARUSZKIEWICZ.

Komuż to te liberye?

BARTŁOMIEY.

Mamy Lokałow czterech, Haydu-
ków dwóch, Lauira, Murzyna, Strzel-
ca, Paiuka, Turczyna—

STARUSZKIEWICZ.

Przeftań tey litanii.—

BARTŁOMIEY.

Krawcowi Warszawskiemu Falen-
dyszowi za robienie tychże liberyy y
fukien dla Jegomości złotych dziewięć
fet dwadzieścia pięć.

STARUSZKIEWICZ.

A niemasz tu krawców bliżey?

BARTŁOMIEY.

Są, ale nie Warszawscy; a iak po-
wiada Pan Marzałek, w Warszawie
tylko umięią suknie robić.—

STARUSZKIEWICZ.

W Warszawie? A my to bez fukien
chodzimy? Daley.—



BARTŁOMIEY.

Item. Temuż Falendyszowi za robienie munduru paradnego dla Pana Kapitana, złotych pięć set dwadzieścia. —

STARUSZKIEWICZ.

Jak to? pięćset dwadzieścia, za robienie munduru?

BARTŁOMIEY.

Ale bo to y mundur zrobił, y sukno na swoy rejestr wziął, y galony. —

STARUSZKIEWICZ.

A to co inszego. Daley.

BARTŁOMIEY.

Item. Temuż Falendyszowi za pięć fraków dla Jegomości, y dwa roklor y —

STARUSZKIEWICZ.

Coż to znowu te Fraki y Roklory?



BARTŁOMIEY.

Pytay się Wać Pan Jegomości, — Za fraki y roklor y złotych dwa tysiące trzy sta szeszedziesiąt, y groszy ośm.

STARUSZKIEWICZ.

O! musi to być coś pięknego! — Daley.

BARTŁOMIEY.

Item. Panu Falendyszowi —

STARUSZKIEWICZ.

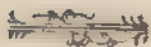
A pokiż to tego Falendysza? — Komuż tam iefzcze więcej?

BARTŁOMIEY.

Panu Drumondier kupcowi Francuzowi, za dwie Enkoiniury, Berżere, y Trumo do Buduaru —

STARUSZKIEWICZ.

A po iakiemu to waszeć gadaasz?



BARTŁOMIEY.

Oy! ponaſzemu Moſci Dobrodzieiu!
Ja nie wiem co to jeſt, ale wiem, że
koſztuje złotych trzy tyſiące oſm ſet
dwadzieſcia dziewięć.

STARUSZKIEWICZ.

Day go katu! — Daley. —

BARTŁOMIEY.

Za dezobliżante na reſſorach —

STARUSZKIEWICZ.

E! —

BARTŁOMIEY.

Za dezobliżante na reſſorach. —

STARUSZKIEWICZ.

A to co?

BARTŁOMIEY.

Jeſt to karetta na jedną oſobę. —



STARUSZKIEWICZ.

A po co nie na dwie, albo na czte-
ry? można y przyiaciela pomieſcić. —
Coż za tę dezobliżante?

BARTŁOMIEY.

Złotych dwa tyſiące dziewięćſet dzie-
więćdzieſiąt y dziewięć.

STARUSZKIEWICZ.

A czemuż nie trzy tyſiące?

BARTŁOMIEY.

Utargowaliſmy złoty.

STARUSZKIEWICZ.

Daley.

BARTŁOMIEY.

Puſzkarzowi Dymkiewiczowi za
dwieſcie kop ſzmermelow, rac dwa
tyſiące ſiedm ſet czternaſcie, młynkow
czteryſia dziewięćdzieſiąt pięć pu-
ſzkow —



STARUSZKIEWICZ.

Hola! — hola! — hola! coż za to
wszystko?

BARTŁOMIEY.

Pufzkow —

STARUSZKIEWICZ.

Coż za to?

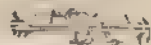
BARTŁOMIEY.

Złotych siedm tysięcy — dwieście
— ośmdziesiąt cztery. —

STARUSZKIEWICZ.

Bodayłogo tego Dymkiewicza. —
Ale ktoś idzie: bywayże mi zdrow; —
reżyty mi potym dokończysz. — Pa-
miętaj to wszystko wykonać, com na-
pisał, — a bądź pewien o mojej wdzię-
czności. —

(*odchodzi.*)



S C E N A III.

BARTŁOMIEY, LEANDER.

LEANDER.

Nie spodziewałem się tego po tobie,
moy kochany Panie Bartłomieiu! że-
bys dawne swoje ku mnie przywiąza-
nie odmienił.

BARTŁOMIEY.

Jak to, miłościwy Panie? —

LEANDER.

Pan Marzatek mi powiedział, iż
właśnie iak na przekorę, w ten czas,
kiedybym się ia iak naylepiey w dzień
imienin moich chciał pokazać, wa-
szęć iakieś trudności wymyślasz,
y nie chcesz nic tego uczynić, coś
był przedtym zwycięzynie dla mnie
wiernie y uprzecznie. —



BARTŁOMIEY.

Mości Dobrodzieiu ! wiesz Wać Pan, że ja Wać Pana kocham. Godzi się starużkowi użyć tego terminu. Oy Paneyku ! Wać Pan tego nie pamiętał, kiedyś był jeszcze małym, iam Wać Pana kołysał, pisał, a nieboszczyk Pan nieraz mi mówił: Bartłomieiu ! iak ja umrę, służ dobrze Juziowi. — (płacze.)

LEANDER.

Jakże to, Bartłomieiu ? powiadasz, że mnie kochał, a nie chciał dla mnie nic uczynić.

BARTŁOMIEY.

A coż ja mam uczynić, kiedy nie maś nic ani w spiżarni, ani w gumnie ? a o pieniądzach ani pytasz ; a Pan chce gości traktować, y sprawić illuminacye.

LEAN-



LEANDER.

To mi to sługa, Panie Bartłomieiu ! kiedy to w potrzebie Pana weśprze. Zebyś wiedział co tu idzie. —

BARTŁOMIEY.

A o co ?

LEANDER.

Znaś dobrze moją sąsiadkę Pannę Cześnikównę, znaś iey piękność, iey talenta, iey statek. Od kilku czasów, ile możliwości staram się iey przypodobać. Dziś ma być u mnie z rodzicami ; coż ja pocznę nieszczęśliwy ! kiedy ich nie przyymę tak, iak są go-dni. —

BARTŁOMIEY.

Ma Pan rację. Ale wie pan, iak to powiadają, że trudno z piasku bicz ukręcić ?

SOLENNIZANT.

D



LEANDER.

Pomysłno trochę. — Moy ty kochany! moy luby! moy serdeczny! —
(*Łaska y całuje Bartłomieja.*)

BARTŁOMIEY.

Tak to Panowie zawsze, kiedy potrzeba, to moy luby, moy serdeczny. — A kiedy nie, — to na Bartłomieja ani patrzeć. —

LEANDER.

Krzywdę mi czynisz: — ja nie jestem z liczby tych niewdzięczników, tych nieludzkich, — niegodziwych.

BARTŁOMIEY.

Prawda, Paneyku, że Wać Pan dobry, ale te Panicze, co to Wać Pana otaczają, y na wszystko złe wrząg. Zobaczył Wać Pan, że nie będziesz miał z nich pociechy. —



LEANDER.

Prawdę mówisz, — Bartłomieiu! y ia to już zaczynam poznawać; — ale tym czasem dzisiejsza wieczera. —

BARTŁOMIEY.

Zebyś był Wać Pan przynajmniej wcześniefy powiedział, dali Bog! zastałbym ostatnią lachmanę, żeby Panu dogodzić. Ale tu czas krotki, a w spiżarni nie masz nic, tylko dwie wędzonki, y łaska mąki gryczaney. Coż już czynić? będę głową o mur tłukł, — aż się co skleci.

(*odchodzi.*)

SCENA IV.

LEANDER.

Dobry ten staruszek, podobno ma rację, — te moie urzędniki swiego tylko dobra szukają, a o Pana żaden z nich nie dba. —

SCENA · V.

LEANDER, KONCEPTOWICZ.

LEANDER.

Coż to, Panie Konceptowicz?

KONCEPTOWICZ.

Nie chcąc być inutilis sub testō
passer, przyniosłem tu Panu niektóre
idee, służące do dekoracyi marcepa-
now, na dzisiejszym seftinie.

LEANDER.

Jakież tam są?

KONCEPTOWICZ *wyymnie papier.*

Jużem się umowił z cukiernikiem,
— teraz dependuie od Pana dać łaską-
wą aprobatę: *parcere subjectis.* —

Nayprzod tedy, Mości Dobrodzie-
ju! będzie na śródku cukrowey de-

koracyi litera I, w cyfrze, a pod nią ta-
kowy napis.

Sliczna Dyanna,
Bogini Joanna.

Po prawey stronie będzie herb oy-
czysty, Jegomości Pana Cześnika Ro-
gala z inskrypcyą:—

Wdzięczne rogi,
Trwogi, w nogi.

Po lewey, macierzysty kleynot, Jey-
mości Pani Cześnikowy, Panna na
niedźwiedziu, Lemma:

Y niedźwiedzie
Afekt wiedzie.

LEANDER.

Obeydzie się bez tych napisów; już
wyszły z mody.—

KONCEPTOWICZ.

Nadto jest wielka Pańska przezor-
ność, żeby gust wytwornej erudycyi



przemieniającey powierzał modzie. —
Jeżeli więc te inskrypcye nie podobają się, — na inſzy kształt ozdobię
stołową dekoracyą.

LEANDER.

A to iak?

KONCEPTOWICZ.

Oto Mości Dobrodzieiu! będzie
na wetach z iedney strony anagram-
ma, z drugiej epigramma, a we ſrzo-
dku chronosylik.

LEANDER.

Wolę ia biſzkokty, — day Waść te-
mu pokoy.

KONCEPTOWICZ.

To wrefczcie, — namaluiemy iedno-
roźca. —

LEANDER *przerzywa.*

Nie chcę nic. Co to Waść maſz za
liſt?



KONCEPTOWICZ.

Jakiem tu ſzedł, oddał mi go po-
ſłaniec. Adres do Wać Pana.

LEANDER.

Day go Waść, — (*czyta adres*)
to widzę od mego Plenipotenta. (*czy-
ta.*)

„Stateczne moje do interesow, y o-
foby Pańskiey przywiązanie, przymu-
ſza mnie oznajmić: iż ſtryl Wać
Mość Pana Dobrodzieia, nabywſzy cel-
ſyi od różnych dłużników, na funda-
mencie tych pretenſyi, proces prze-
wiodł, y zabiera ſię do dobr na tra-
dycyą. Nie wiem, kiedy ſię to ſtanie,
ale dochodzą mnie wieści, iż w tych
dniach zapewnie Plenipotent z Ofi-
cyaliſtą mają ziechać do dobr, y od-
bierać ie. Zmiłuy ſię nad ſobą, Mo-
ści Dobrodzieiu! a ſtaray ſię zmięk-
czyć zagniewanego ſtryia. —



Ah ja nieszczęśliwy! — Coż tu począć? — (*biię w taraban*)

Gerwaziewicz, Protaziński. (*do Sekretarza*) Każ Waśc zawołać, — (*Sekretarz idzie*) ale nie — zostań się Waśc. — Gdzież pokoiowi? (*do Sekretarza*) Czego Waśc stoisz? — powiedz Waśc. —

SCENA V.

PANI SKARBNIKOWA, PANI PODWOIEWODZINA, LEANDER.

LEANDER.

Ah Moście Dobrodzieystwo! przepraszam iak najpokorniey, że mi nie dano znać —

SKARBNIKOWA.

Wolny to żart Wać Pana. —

LEANDER.

Byłbym pospieszył —



PODWOIEWODZINA.

Obejdzie się bez tey fatygi Wać Pana.

LEANDER.

Ale suplikuję —

SKARBNIKOWA.

Kłaniam się uniżenie.

LEANDER.

Nie mieć mi za złe —

SKARBNIKOWA.

Uniżona służa. —

LEANDER.

Będzie wola odpocząć?'

SKARBNIKOWA.

Nie jestem zmordowana.

PODWOIEWODZINA.

Zdrowe mam nogi, z łaski Pana Boga. —

(*biię w taraban*)



LEANDER.

Za pozwoleniem, pospieszę — przy-
witać. —

PODWOIEWODZINA.

Szczęśliwa droga. —

S C E N A VI.

SKARBNIKOWA, PODWOIEWODZINA.

SKARBNIKOWA.

Piękna polityka Jegomości! nie
wyyść na przeciw nam.

PODWOIEWODZINA.

Przynajmniej, żeby do słołowej
izby.

SKARBNIKOWA.

Jak to do słołowej izby? na ganek,
na ganek Mościu Pani.



PODWOIEWODZINA.

Prawdziwie, dobrze to powiedziała
Pani Sędzina, że te Warszawskie ka-
walery wcale teraz nie grzeczne.

SKARBNIKOWA.

Pamiętasz Wać Pani, kiedy tu był
Pan Adiutant? —

PODWOIEWODZINA.

Jakże nie mam pamiętać! — Jak
wpadł do mnie do izby, mało mi
dzieci nie poroztrącał. Franuś się go
tak przestraszył, iż miał potym czka-
wkę więcej jak przez półgodziny.

SKARBNIKOWA.

A u mnie ani poślut —

PODWOIEWODZINA.

Jeżeli oni tacy wszyscy, to zakażę
moim dzieciom pod błogosławień-
stwem, żeby do Warszawy nigdy
przenigdy nie jeździli. — A widziałś



Wać Pani te modne kornety u Panny Cześnikowny, — co ie Pan Leander przysłał oślatnią razą? —

SKARBNIKOWA.

Widziałam, — ale mi się nie podobają. Kto to widział, takie czuby na łbach! Ja zawsze będę utrzymywała, że lepsze fontazie.

PODWOIEWODZINA.

Zapewne, że lepsze. Sprawili się raz, y można ie było nosić niewiedzieć poki. A teraz dzień, dwa, trzy, y już nie ma co dać Pannie służebney: —

SKARBNIKOWA.

Ale powiadaia, że się odezwał — Pan Leander do Panny Cześnikowny. —

PODWOIEWODZINA.

Właśnie się dobiorą. On sówizrzał, grubian, zapamiętalec. A ona,



że ma czuby, y gra na klawikorcie, to już rozumi, że wżyskie rozumy poja-
dła; a Pan Sędzic —

SCENA VII.

Ciż *fami* LEANDER, SKARBNIK, PODWOIEWODZY.

SKARBNIK *u drzwi*

Już co tego — to żadnym sposobem nie uczynię. —

LEANDER.

Ale proszę, Mości Panie Skarbniku! —

SKARBNIK.

Zeby mi tu przyzło y nocować — nie — —

LEANDER.

Ale, Mości Panie Podwoiewodzy! —



PODWOIEWODZY.

Wolno ze mną co chcieć uczynić,
ale nie odważę się nigdy —

LEANDER.

Ale Mości Panie Skarbniku! —

SKARBNIK.

Exces to dobroci Wać Pana, że
mnie chcesz —

LEANDER (*bierze obydwóch pod łoki.*)

Ale suplikuję, Mości Panie Skar-
bniku! — Mości Panie Podwoiewo-
dzy! —

PODWOIEWODZY.

Protestuję się, — że mi gwałt czy-
ni łaskawa Wać Pana ludzkość. —
(*wchodzą.*)

SKARBNIKOWA (*do męża.*)

Moje serce! mnie głowa boli.



PODWOIEWODZINA (*do męża.*)

Juziulu! ja chora na katar.

LEANDER.

Ubolewam, — może to fatyga po-
droży. —

PODWOIEWODZINA.

Nie fatyga podróży —

SKARBNIKOWA.

Jesteśmy chore, bośmy niezdró-
we. —

S C E N A VIII.

Ciż sami KAPITAN.

LEANDER *do ucha Kapitanowi.*

Po coż Waść kazał bić marisz przed
temi gośćmi?

KAPITAN.

Ro — ro — rozumiałem, że Pa —
Panna Cześnikowna —



LEANDER.

Było się lepiej informować.

KAPITAN.

To — to już dla — dla — dystryn —
kcyi, iak bę — będzie iechać Pa —
panna Cześni — nikowna, każę bić
la — la — rum.

LEANDER.

Biy już Waść co chcesz, — a day
mi pokoy.

S C E N A IX.

Cich siami PROTĄZINSKI.PROTĄZINSKI *do ucha Leandrowi.*

Mości Dobrodzieiu! Bartłomiej
kazał powiedzieć Wać Panu Dobro-
dziciowi, żebyś nie częstował winem,
bo już tylko cztery butelki. —

LEAN-



LEANDER.

A wszakże nie dawno beczkę przy-
wieźli. —

PROTĄZINSKI.

Pan Marzalek wyczęstował.

LEANDER *do gości.*

Będzie wola do ogrodu? —

SKARBNIKOWA.

Rosa jest, nie poydę —

PODWOIEWODZINA.

Ja się boję węzów.

LEANDER.

To Kawy?

PROTĄZINSKI *do ucha Leandrowi.*

Pan Pogromski imbryk sfluki.

LEANDER.

Ale — od dawnych czasów — nie
mieliśmy tak piękney pogody, — iak
teraz.

SOLENNIZANT.

E

SKARBNIK.

Tym lepiej dla naszey pszenicy. —

LEANDER.

A u Wać Pana — to — pięknie pszenica — wschodzi.

SKARBNIK.

Dość pięknie, — ale się znowu boię kąkolu, iak przeszłego roku.

LEANDER.

To to — był kąkol — przeszłego roku — (*Protazińskiemu do ucha*) Niechże przynajmniej lemonady przyniosą. — (*do Podwoiewodzego*) Nie spodziewałem się tak wielkich upałów — gorąco nadzwyczajnie.

PODWOIEWODZY.

Y owżem — czas umiarkowany — nie dawno deszcz padał. —

PODWOIEWODZINA.

Nie urzekayżego Wafzeć moje serce! — niechay sobie pada, — tym lepiej na rośladę.

LEANDER.

O — tak, — Mościa Dobrodzieyko! — zapewne — tym lepiej na rośladę.

PODWOIEWODZINA.

Albo to wiedzą w Warszawie, — co to iest — rośsada?

LEANDER.

Czemuż nie? Mościa Dobrodzieyko. — Czynisz Wać Pani krzywdę Warszawie. — Ci, których stopnie są wyższe, — nie mają prawa czasu myśleć o szczegulnych częściach gospodarstwa. — Z tym wśrystkim, y znaią się na nim dobrze, i kiedy czas y pora po temu, mowią o nim tak, iak się należy. —

SKARBNIKOWA.

Ha — ha — ha — to w Warszawie wiedzą, co to jest roslada?.

LEANDER.

Jeśli mogą wiedzieć na wsi, czemuż nie w Warszawie? —

PODWOIEWODZINA.

A Pan Adiutant nam powiedział, że gdyby kto w Warszawie gadał o gospodarstwie, toby go wypchnęli za drzwi.

LEANDER.

Nayprzód, trzeba żebyście Wać Panie wiedziały o tym, że w Warszawie nie wypychają za drzwi, a gdyby to się stać miało, takichby wypychano za drzwi, którzyby raz wraz gadali nie do rzeczy.

SKARBNIK.

To to w Warszawie —

(Gerwaziewicz przynosi lemonadę.)

SKARBNIKOWA, której ofiaruje.

A to na co?

LEANDER.

Jest to lemonada, na ochłodzenie. —

PODWOIEWODZINA.

A mnie bez tego zimno —

SKARBNIKOWA.

Ja nie pijam gęstego trunku. —

LEANDER do Skarbnika.

Z gazet nie mieliśmy nic ciekawego, — powiadają jednak, — że zanosi się na wojnę —

SKARBNIK.

Bronźcie iey Panie Boże! — zawsze po niey następuje szarańcza. —



LEANDER.

Bywało to czasem. (*Gerwaziewi-
czowi do ucha*) A gdzie Pan Marsza-
łek?

GERWAZIEWICZ.

Jak tylko Pan Sekretarz od Pana po-
wrocil, — kazali zaprzac wozek, y za-
brawszy rzeczy, poiechali.

LEANDER *na stronie.*

Zdraycy! (*do Skarbnika*) Tak
jest, — szarańcza — jest to wiel-
ka kara Pana Boga. — (*do Podwo-
iewodziny*) Będzie wola zabawić się w
karty? —

PODWOIEWODZINA.

Ja nie umiem w tryssiete.

SKARBNIKOWA.

Ja kart francuzkich nie znam.



LEANDER.

To możemy grać w Polskie. —

PODWOIEWODZINA.

Obeydzie się bez tego. —

SKARBNIKOWA.

Wolę ia dać pieniądze ubogiemu.

LEANDER.

To bez pieniędzy —

Obydwie razem.

A pfe! bez pieniędzy.

LEANDER *na stronie.*

Co ia mam czynić z temi dziwaka-
mi! (*do Podwoiewodzego*) A — liczne
były sądy ziemskie?

PODWOIEWODZY.

Nie bardzo, — iam, chwala Bogu!
moję sprawę wygrał. —

LEANDER.

A z kimżeś to Wać Pan miał sprawę?



PODWOIEWODZY.

To Wać Pan nie wiedziałeś, że to
— ale tę rzecz trzeba wiedzieć z gory.
— Za panowania Kroła Łokietka —

GERWAZIEWICZ *do ucha Leandrowi.*

Mości Dobrodzieiu! — woźny tu
jest w sieniach.

LEANDER.

Przepraszam, — iako najpokorniej,
że na moment odeysć muszę — (*na
stronę.*) Jużem też zginął na wieki!

SKARBNIKOWA *do innych.*

Piękna polityka! —

PODWOIEWODZINA.

Piękne przecie, a przegranie pię-
kniejšie.

PODWOIEWODZY.

Musi mieć swoje interesa, odeydlżny

Koniec Aktu Drugiego.



AKT TRZECI.

SCENA I.

STARUSZKIEWICZ, LEANDER.

LEANDER.

Ah Mości Dobrodzieiu! czyż iam
się mógł tego spodziewać po
Wać Panu Dobrodzieiu! — Prawda,
żem wykroczył, uznaię moię winę. —
Słabość mnie iedynie do tego przy-
wiodła; — otoczony złemi ludźmi —
wierząc ślepo, — wpadłem w to nie-
fczęście, w którym się widzę: — by-
łoby mi znośne, gdybym Wać Pana
Dobrodzieia zagniewanego na siebie
nie uznawał.

STARUSZKIEWICZ.

Panie synowcze! krok, który czy-
nię bardziej mnie boli, niż Wałtreci.



Alem go musiał uczynić. Trzeba było ratować reszty, gdy już wszystko ginęło. Mieli drudzy korzystać, — wolałem ja y z stratą wszystko na siebie przyjąć; — niech się przynajmniej z nas cudzy nie naśmiewają.

LEANDER.

Na wszystko rezolwowany jestem. Ale zmiłuy się Wać Pan Dobrodziey! zatrzymay się z tradycją, przynajmniej poki goście nie odiadą.

STARUSZKIEWICZ.

Na coż się zda ta zwłoka? a przynajmniej się wydatek —

LEANDER.

Fraszka wydatek, — ale hańba moja, — ale wieść o gniewie, Wać Pana Dobrodzicia, — ale przytomność Jehmość Państwa Cześnikostwa, — (z westchnieniem) ich corki! —



STARUSZKIEWICZ.

Coż to Waszeci obchodzi tak bardzo przytomność Państwa Cześnikostwa, — ich corki?

LEANDER.

Ah Mości Dobrodziciu! bardziej niż wszystko. — Jedyne cel dalszego moiego uszczęśliwienia, zasadzał się na łascie rodziców — na — pozyskanie serca. —

STARUSZKIEWICZ.

Prawda, że to Panna pełna talentów y cnoty. Byłaby dla Waszeci wcale dobra partya. Ale odmieniły się rzeczy. — Panie synowcze! posażney Panny za chudego pacholka nie dadzą; — przed rokiem byłeś Waś Pa-nem. —

LEANDER.

Jak to, Mości Dobrodziciu! mająż to pieniądze wchodzić do uszczęśliwienia w obraniu stanu?



STARUSZKIEWICZ.

Panie młody! dobry ten sentyment do romanśów. A jeżeli Waś o tym nie wiesz, naucz się odemnie, że teraz bez pieniędzy, ani cnota, ani przynioły nie popłacaia. Zła miłość o głodzie. Rozumiesz Wafzeć?

LEANDER.

Ah rozumiem y nad to! — (*pada do nog*) Zmituy się nademną Wać Pan Dobrodziey! nie bierz mi reszty nie-
szczęśliwego życia, — oszczędź przynajmniej moment ostatniey konfuzyi.—

STARUSZKIEWICZ.

Coż mam uczynić?

LEANDER.

Odwlecż tę nieszczęśliwą scenę, — pokazać w oczach gości twarz łaskawą, — nakłonić Jchmość Państwo Cześnikostwo. —



STARUSZKIEWICZ.

O co to — to będzie ciężko, — a bardziey nie podobna. Ale przez ostatek ielżcze względu dla Waści, oddoję tradycją do jutra, — ale pod tą kondycją, żebyś się Waś na tym blankiecie podpisał. —

(*wyymuie blankiet*)

LEANDER.

Chętnie przestane na wszystkim, ogołocę się z tego, co mieć mogę, bylem pozyskał —

STARUSZKIEWICZ.

Podpisz się Waś.

LEANDER *podpisuje blankiet.*

(*na stronę*)

Jeszcze też tego mojemu nieszczęściu brakło, żebym sam moję zgubę własnym podpisem stwierdził.



S C E N A II.

Czł. fami KAPITAN.

KAPITAN *Leandrowi do ucha.*

A kie — kiedy z harma — matek
palić?

LEANDER *z gniewem.*

Nigdy. —

KAPITAN.

Jak to — to — nigdy? —

LEANDER.

Idź Waśc precz.

(Kapitan odchodzi.)

S C E N A III.

STARUSZKIEWICZ, LEANDER.

STARUSZKIEWICZ.

Coż to za Oficer z Waścią teraz ga-
dał?



LEANDER.

Jest to Mości Dobrodzie — Mości
Dobrodzieiu —

STARUSZKIEWICZ.

Ktoż to jest?

LEANDER.

Jest to — Jest to — moy znai-
omy. —

STARUSZKIEWICZ.

Zkąd to Waśc tych znaomości po-
zabierał? A ci żołnierze, co przy bra-
mie y w fieniach — y ci znaiomi?

LEANDER.

Ale bo to — to mi — to na ten
bał Pan — ten — o zapomnia-
łem. —

STARUSZKIEWICZ.

Coż to? to już to Waśc y pamięć
stracił? wstydz się Waśc przyczyniać



ieść kłamstwo do marnotrawstwa. Y ten Kapitan, y ci żołnierze Waścinego werbunku. Prożno się Waść przedemną taiz. Wiem ia o wszystkim. — Nie mam dzieci. — Znaydę dalszych imienników. —

LEANDER.

Poddaię się zupełnie pod stryiewską decyzją; dalszy sposób życia moiego pokaże, czym ieść godzien łaskawych względów. —

STARUSZKIEWICZ.

Idź Waść do gości, — ia się tu ieść zostanę. —

SCENA IV.

STARUSZKIEWICZ *fam.*

Zal mi go, — ale trzeba Pana młodego nauczyć. — Oy biedni starci! co

to



to was szaleństwo młodych kosztuje! Frażki strata dobrego mienia. — Ciężki ból, — widzieć dobre skłonności skazane złym towarzystwem, kilkunoletnią pracą naszą w momencie spełzną. Oy młodzi — młodzi! — gdybyście mogli czuć nieczną boleść, którą walcami nieprawemni posłepki zadaciecie rodzicom y krewnym walcym, ieżeli nie przez rozum, — przez kompasy powinnyście poprzestać waszego szaleństwa. — Ale widzę nadchodzi Pan Cześnik. —

SCENA V.

STARUSZKIEWICZ, CZESNIK.

CZESNIK.

Coż tam, kochany przyiacielu?

STARUSZKIEWICZ.

Coż czynić? — A ieść tam w kompanii moy Pan synowiec?

SOLENNIZANT.

F



CZESNIK.

Przyšedł nie dawno, ale tak zmieniiony, pomieszany, iż mi go było niezmiernie żal. — Chciał to niby udawać wesołego, — ale się przewyciężyć nie może. Uśmiechał się — gadając z moją córką, — a tży mu w oczach stoja. Y ona niebożatko; patrząc na niego, ledwo się nie rozplakała. —

STARUSZKIEWICZ.

A goście?

CZESNIK.

Pani Skarbnikowa z Podwoiewodzina dziwaczna; — mężom się pić chce, a wina nie daia. W domu iakieś nadzwyczajne pomieszanie. Leander krzepi się iak może, a pokoio-
wi wszystko mu coś do ucha szepcą. — A on raz blednicie, drugi raz czer-



wony iak karmazyn. — Podźmy tam do nich. —

STARUSZKIEWICZ.

Dobrze, — ale nam jeszcze potrzeba wstąpić pierwey do Bartłomieja.

S C E N A VI.

Reprezentuje salę kompanii.

PANI CZESNIKOWA, CZESNIKOWNA,
SKARBNIKOWA, PODWOIEWO-
DZINA, LEANDER, PODWO-
IEWODZY, SKARBNIK.

(Kozaczek gra na bandurze)

CZESNIKOWA.

Krzywdę mi Wac Panie czynicie. — Trzeba to czasem wybaczyć młodości. —

SKARBNIKOWA.

Uchoway Panie Boże! żeby mi miała kogo obmawiać. — Ale spytaj

się Wać Pani, kogo chcesz. Każdy powie, iż Pan Leander jest marnotrawca, człowiek letki, płochoy, a co więkksza grubiań & brutal.

PODWOIEWODZINA.

Wiesz to Wać Pani, że, kiedyśmy tu przyjechały, ciężko było Jegomości uklonąć się, a wynieść przeciwko nam, było to przeciw honorowi Jegomości, Jegomości; co jego oyciec od mego stryja trzymał arędą wieś pod Berdyczowem.

CZESNIKOWA.

Moje Panie! — jużem pierwey powiedziała, że trzeba młodości wybaczyć. Upewniam, że, iesli wykroczył, lekkość to —

SKARBNIKOWA.

Piękna to lekkość, że gości w dom przyjąć!



PODWOIEWODZINA.

Y nie wynieść na ganek!

SKARBNIKOWA.

Jegomość — co by powinien pamiętać, iż ooczem mego wnia był Kaptelanem krześlowym.

PODWOIEWODZINA.

Na co to tać. Wać Pani wiesz, że jego babka była z Niemiec.

SKARBNIKOWA.

A jego stry Pan Staruszkiewicz był Plenipotentem.

CZESNIKOWA.

Y coż to ma być złego, że jego babka była z Niemiec, że jego oyciec trzymał wieś arędą, że jego stry był Plenipotentem. Tacy dobrzy są tła-chta w Niemczech iako y w Policzce; wieś arędą trzymać nie szpeci szlachci-

ca; a żeśmy nie wszyscy Panowie, lubo równi; częstokroć ten jest Plenipotentem, którego oyciec miewał Plenipotentow. —

Nie godzi się, moie Pani! nikomu ubóstwa wymawiać, często szacowniejsze dla cnoty, niż bogactwo przy niepoczciwości. —

SKARBNIKOWA.

Patrzajno Wać Pani, iak się do Panny Cześnikowny przybliżył, y z nią gada. —

CZESNIKOWA.

Coż żąd, że w przytomności rodziców y uczciwego towarzystwa kawaler z damą rozmawia? lepiej to, imoie Pani! niż pokątne szepty. —

PODWOIEWODZINA.

Wolno każdemu czynić, iak się podobą, kiedy się jednak starał o mnie

moy Jegomość, gdyby się był o trzy kroki przystunął, zapewne byłby mu był nieboszczyk moy oyciec rękę uciął. — Wiesz to Wać Pani, że mnie tylko raz widział przed naszym ślubem, y to jeszcze za kotarą. —

CZESNIKOWA.

Tym gorzej, moia Pani! że za kotarą. Ale ja nie chcę się nad tym rozwodzić, co do mnie nie należy. Moiey corce starałam się dać taką edukacyą, iaka mi się zdała być nayprzystoitsza. — Mogłam zbłądzić. — ale. —

SCENA VII.

Ciż sami, POGROMSKI *piiany*.

POGROMSKI.

Y wesolo, — y ochotczo, — y pięknie, y suto; — Panie Dobrodzieiu! — Ale Jeymość Pani Cześnikowa, —

F 4



Jejmość Panna Cześnikowna. — A ha.
— Upadam, — adoruę godności, —
powinśzowania. — Solennizacyi Patro-
na Świętego. Ey zapomniałem — ora-
cyi — A godziłoby się Panie Dobro-
dzieiu — za zdrowie.

LEANDER *Pogromskiemu do ucha.*

Potym się napijemy, — jużem pro-
ponował kielich, ale Jegomość Pan
Skarbnik — trochę słaby, — a Jego-
mość Pan Podwoiewodzy — pić nie
chce. —

POGROMSKI.

Kto? — jak to? — pić nie chce?
— za Pańskie zdrowie! Mości ko-
chany Podwoiewodzy! a także —
to? —

LEANDER *do ucha Pogromskiemu.*

Ale proszę Wać Pana nie wspomi-
nay o kielichu, — mam tego ra-
cyą.



POGROMSKI.

Coż za racya. — Choćby mi Krol
Francuzki — nie kazał, — iabyim go
nie usłuchał. Jak to nie pić za Pań-
skie zdrowie, za zdrowie Solennizanta
— proszę o kielich.

SKARBNIK, PODWOIEWODZY.

Zgoda — Zgoda. —

POGROMSKI.

Dufzkciem — pełno. —

SCENA OSTATNIA.

Ciż jani, STARUSZKIEWICZ, CZESNIK.

STARUSZKIEWICZ.

Lubo nie proszony na te gody, sta-
wiłem się, Mości Panie synowcze!

LEANDER.

Exces to łaski Wać Pana Dobro-
dzicia.

STARUSZKIEWICZ.

Proszę mi nie przeszkadzać. Ci wszyscy Jchmość, którzy tu są zgromadzeni, a ośobliwie Jegomość Pan Cześnik, są to dawni przyjaciele moi. Nie będą więc mieli za złe, — jeżeli —

LEANDER.

Ale Mości Dobrodzieiu!

STARUSZKIEWICZ.

Jużem dawniej powiedział, że mi proszę nie przeszkadzać. O com więc prosił iak gość, rozkazuję teraz, iako stry i opiekun. —

Zostałeś się Waśc po śmierci rodziców w wieku niemowlęcym. Prawem natury, kompasją i wrodzoną miłością wzbudzony, wziąłem w administracją majątność, w opiekę ośobę Waścineę. Pan Bog jest świadkiem troskowi, prac, zabiegów moich. By-

ły mi znośne nadzanie, że się moja praca stokrotnie nadgodziła. — Uprzedziłem czas wypuszczenia z opieki; oddałem majątność. — Obigłeś Waśc rząd, y miałem racją być kontent z tego, com zrazu widział. Jaki był koniec tak pięknych początków, — wiedzą wszyscy, — a zał, który mnie rozrzewnia, — nie pozwala się rozżewzać. — Używam więc moiego prawa, a chcąc w imieniu przynajmniej utrzymać to, coś Waśc utracił, — na fundamencie własnego Waścinego podpiśu, — który produkuje. — (wyymuje skrypt)

LEANDER *do nog.*

Ah Mości Dobrodzieiu! przestałem na wiatłku, przyrzekłem mi Waśc Pan Dobrodzieiu.

STARUSZKIEWICZ.

Mówilem, żeby mi nie przeszkadzać. — Na fundamencie więc własne-

go podpisu, proszę Wać Pana naj-
przód, Mości Panie Cześniku, y Waż
Mość Panow, Mości Panie Skarbniku y
Podwoiewodzy, żebyście ten skrypt, już
od Jegomości podpisany, raczyli swo-
iemi podpisy ztwierdzić.

LEANDER *na stronie.*

Ah ja nieszczęśliwy! —

CZESNIK, SKARBNIK, PODWOIEWO-
DZY, *podpisują.*

STARUSZKIEWICZ.

Nie godzi się łatwości tej w podpi-
saniu łaskawych przyjaciół na złe u-
żywać. Trzeba, żeby wiedzieli, co
podpisali; Mości Panie synowcze!

LEANDER.

Ah Mości Dobrodzieciu! gdzież pa-
mięć na przyrzeczenie? —

STARUSZKIEWICZ.

Zadam tego po afekcie twoim,
Panie synowcze! żebyś mi w tym nie
przeczył.

LEANDER.

Czegożbym dla Wać Pana Dobro-
dzieia nie uczynił! ale pamiętaj Wać
Pan Udobrodziecy, że mi ta ofiara od-
bierze życie.

STARUSZKIEWICZ.

Ofiary uczynione dla starszych Pan
Bog błogosławi. — Czytaj Waś
sam.

LEANDER *z prześrachem.*

Ja sam?

STARUSZKIEWICZ.

Tak jest, Waś sam. Wymagam
to, iak znak ostatni wdzięczności za
wszystkie moje starania y prace.



LEANDER.

Prawda, że powinna być nieskonczona. — Niech zginę: — dawaj Wać Pan. — (*bierze skrypt zaczyna czytać*) Między Jegomością Panem Staruszkiewiczem stryiem, a Leandrem synowcem jego — (*zatrzymuje się y wzdycha*) — z jedney strony, a Wielm: Ni. Cześnikiem y małżonką jego, iako rodzicami — stała się ninieysza tranzakcyja, umowienie y — intercyza. — (*rzuca papier, pada do nog stryia*)

Ah! naylepszy z stryioy — z ludzi! — radość, — pomieszanie, — wdzięczność, — łzy moie!

STARUSZKIEWICZ.

Wstań, kochany synowcze! a tę wdzięczność oświadczyć rodzicom, oświadczyć godney coree, którzy mimo zdrożności twoie, raczyli — (*Leander pada do nog Cześnik.*)



STARUSZKIEWICZ.

Ten skrypt, któryś mienił być zgubą, jest teraz relikwinią twoiego szczęścia. Znajdziesz w nim po moiey śmierci zapis dobr moich wszystkich. — Używay szczęśliwie, — już więcej wymówek nie usłyszysz. Jeżeli były przykre kroki, którem uczynił, wyprobowwały cnotę twoją. — Karał cię z żalem stry, co cię kocha. Życie szczęśliwie, kochane dzieci! —

CZESNIK.

Nie trzeba o młodych rozpaczać, ale też trzeba ich umieć poprawiać.

K O N I E C.



OMYŁKI W DRUKU.

Karta 72. wiersz 4. od spodu, jest słowo prze-
cie, czytaj przyięcie.



